

Antoni Matuszkiewicz

OPISANIE MAŁEGO ŚWIATA

Książka i las

Pracując w latach 1987-1988 na książańskim zamku schodziłem często starym traktem w stronę Pełcznicy lub Świebodzic. Wtedy właśnie narodziła się ta książka jako całość, choć nie w całości. Obejmując większy obszar życia wchłaniała inne szlaki w labiryncie gór i pogórza Środkowych Sudetów.

Znajdziesz w lasach coś więcej niż w książkach – to zdanie św. Bernarda cytuję za „Dziennikiem” Julien Greene’a (w tłumaczeniu Juliana Rogozińskiego) z zażenowaniem, że powstała tylko książka.

Antoni Matuszkiewicz

5 marca 2004 r.

Mały świat, ojczyzna doznania

Gorąco polecam tę książkę Antoniego Matuszkiewicza. Pisał ją przez wiele lat, wciąż dopisując nowe olśnienia. „Opisanie małego świata” dotyczy w istocie tego świata największego: przeżyć człowieka stykającego się z ukrytą za powierzchnią rzeczy Nadwartością. Wędrowiec rozmawia z lasem, wiedząc, że ten jest naturalną maską Boga. Opowieść o lesie okazuje się opowieścią o losie. Los człowieka ujawnia się epifanijnie. Sto sześćdziesiąt not Matuszkiewicza to iluminacje, niezwykle piękne, tkliwe, wręcz wzruszające.

Jeśli komu wciąż mało, to niech wie i o tym, że te przeżycia poety i filozofa, wędrowca rozpoznającego znaczenia, osadzone są w krajobrazie najbliższym, „w labiryncie gór i pogórza Środkowych Sudetów”. Zapiski Matuszkiewicza są dowodem na to, że mała ojczyzna może być także wielką ojczyzną, albowiem w niej i poprzez nią dostępuje się ostatecznego wtajemniczenia.

Karol Maliszewski

Nowa Ruda, 6.03.2004 r.

Krok za krokiem, coraz wolniejszy, z rosnącą uwagą dowiadujesz się siebie, spodziewasz lepszego. Szorstki od zabliznionych znaczeń, błękit pobudza wrażliwość. Tylko pod rygorem nieistnienia przylegasz ciasno, po współczesność, do asfaltu przewijanego między wzniesieniami. Błyskotliwie wyjaśniającej pustki.

[1]

Życie, życie tak przystoi lasom, aż kraśniej śmierć. Nie szemrają leżące liście, konary nie przyjmują kształtu pytań. Lgnąc do ściółki poświadczają sens dążenia wzwyż, ostateczną zgodność z powierzchnią ziemi. Biologia wszystko przerasta natchnieniem. Pręty wypełniają klatkę.

[2]

Dnem wąwozu uchodzi wszelka nieruchomość. Pantomimos trwa w genialnym geście przekraczającym jakąkolwiek akcję. Tysiącletni cis to wciąż jeszcze niecierpliwa publiczność.

[3]

Już wyraźnie żółto-brązowo, jesienią. Gościniec wyplątuje się z nadmiaru martwych dróg, zduszonych naporem lasu. Na poboczu polodowcowe głazy zwleczone z pól, dwustuletnie lipy w poszczerbionym szpalerze. Niewyraźny jeszcze starzec z laską u kresu alei, jakby w odsłoniętej poza teraźniejszość dali. W głębi lustra.

[4]

W jarze niedopałki brzóz. Głębiej niż korzeniem grusza sięga w przyszłość rozedrganą czerwienią. Nabiera tonu na następny rok. Chłodem pachnie trawa i sosnowy chrust, zawiły jak alegorie na renesansowych epitafiach. Być może karp odrzucona spod nóg już tak przeleży kilka zim. Uwalniająca się wraz z odchodzeniem moc pustyni, po tym przemóc tamten świat.

[5]

Kwiat poziomki zakotwiczony w tężejącym niebie, gdy zrezygnowane klony szeleszczą już dłońmi po ziemi. Puste krzaki malin, jakże daleko odszedł ciepły dotyk. Wzdłuż różańca mrowisk powtarzasz w myśli szmer podwójnych kroków. Odrzucony osamotnieniem, znajdujesz się w japońskim lesie, wibrującym napięciem haiku. Oplątują cię zewsząd korzenie żeńszenia. Ten, który pozaszczepiał w skaliźnie rośliny, dał ci moc wzroku i zmysł metafory. Czekoladę i kamienne tablice. Wzruszenie, z jakim powinienes przyjąć choćby najmniejszą sadzonkę istnienia. Jak kocię, szczenię, własne dziecko jeszcze nie umiejące mówić. Bez pamięci.

[6]

Wśród blednących, zbiełałych, rozsypujących się liści dalej i dalej, aż zaskoczona w przejrzystości wilgoć pokrywa się modrym rumieńcem. Już dookoła widać najprawdziwszą nagość, tylko niezgrabne gładziska nie rozdziewają się z glonów i mchu. Już, już można zajrzeć w swoje własne karty. Co ten sen wróży innym snom.

[7]

Draśnięty ledwie karb wrześniowego miesiąca, lipa jeszcze rozrzutnie szafująca cieniem. Kałuże migocą jak pierwsze płatki bieli. Ciągnie ziąb od kipiącej w słońcu chmary czarnych sosen. Dojrzała miłość oświetlonych ścian ku błękitnym popiołom horyzontu.

[8]

Umilkł szelest zsuwających się liści. Mógłbyś dotknąć nagości, ale ta jaskrawość jest jak
zuchwale podniesiony wzrok. Mierzący poza twoje ciało.

[9]

Las pokornie dźwiga siedemdziesiąt dwa imiona Boga, w tle zgaszona biel pergaminu.
Rozpłaszczony o chłodną oczywistość usiłujesz przejrzeć, dotykasz gałązek, brajlowskiego
duktu niewidzialnych.

[10]

Idziesz, to znaczy uświadamiasz sobie, jak bardzo przylegasz. Patrzysz wstecz, gdzie już się udało niczego nie zmienić. Cierpko brzmi głos sikorki, cienki jak babie lato. Czemu wciąż pilnie nasłuchujesz szmerów? Nie wypatruj jeszcze jednej jemiołuszki, nie wyglądaj sarny ani dzika. Przepelniasz arkę, wokół stoi potop. Przybicie grozi katastrofą nadmiaru.

[11]

Byłeś wdzięczny, objawił się w wiecznej młodości, w pełni światła, z chrzęstem rozsuwanych źdźbeł. Trwał tak blisko, tak cichy, okryty ostrym gotykiem. Uniósł głowę nasłuchując oddechu, pragnąc twojej woni, w oku zasłoneczniła mu czerń. Znikał za jeżyną, byliną, za lasami, górami, ukazując jeszcze ciemne ikony skośnych stóp.

[12]

Nagie po iluminację, wyplątują z miałości istnienia. Nieodwołalnie wybiera cię jasność, powłoka buków, świat topniejący w świetle. Umykasz w kotlinę, ze strugą od wieków równie nieświadomą wniebowzięcia.

[13]

Aż się chcesz przeżegnać. Za każdym smagnieniem liście strugą chlustają ci w twarz.

[14]

Nie pochłonał jeszcze mdłego seledynu, mnogości jesionowych liści. Jak zaczajony w jarze jesiotr, wycieka spod nich połyskliwą czernią. Głazy znaczą grzbiet cętkami piany. Z zatrzymanej na moment próchniejącej kładki, zza pochylonych powiewem wierzb widzisz, jak mknie pośpieszny, dotąd pełen ciebie.

[15]

Światło tak dokładnie wyciśnięte z winorośli, że widać przez nią wszystko, poza pierścienie Saturna.

[16]

Jak w gwiazdę zapatrzyłeś się w przejrzystość, we mgle, wilgoci, dymie. Odejmując, jesień pozwala na wzrost. Ścieżka się zaciera, nasiąka zwątpieniem, druga wzbiera niezwykle pewnością, druga sensem skondensowane powietrze. Moc, która znów wydzwignie wiosnę. Jesteś widzeniem niezależnym od losu, sadzą opadnie wypalony cień.

[17]

Już widać szare akty hałd, mimowolną strzelistość mozołu. Osypując się wokół, kopalnie zrastają w głąb, z oczywistości w niewiadomą. Póki życia wyzbywają się czerni, ich opuszczone tkanki zasypują piaskiem. Nad szybami rozległość na detonujący wzrok, nagle wydobyty spod skał. Usypiska burych obłoków, absurdalnie osadzone w przejrzystości. Śmieszne jak kroki za progiem przepaści, powtarzają profile jałowych piramid. Klucz żywota korodujący we mgle.

[18]

Nic nowego, nieruchomiejesz z odchodzeniem lata. Jakbyś wzrokiem Konfucjusza spojrział na ręce, nogi. Rzeźbę nieba, ziemi. Nie tworzysz, gubisz oczy w bezustannej korekcie.

[19]

Wciąż mijasz w leśnych niszach zdruzgotane buki. Sypią się rdzawe cegły, gliniane tabliczki. Mursz woluminów. Po kilkuset latach miejsca się otrząsają, wracają do siebie. Zaskakują tężyzną kiełkującej pustki. Tymczasem w mgłach bieleją huby, infuły synodów w spleśniałych stallach. Po upadkach od nowa równoległe z niebem. Zabierają głos, nad ciszę wznosząc ożywione milczenie.

[20]

Stery brzozowych źerdzi, tak poziomo spiętrzone, tak zdecydowany bije z nich sens. Jakby mowa ścięła się na ich powierzchni. Wypisane kredą wzdłuż ścieżki heksagramy chińskiej wyroczeni.

[21]

Śnieżny grafit ze strzaskanej świerkowej strzały. Pejzaż jest niewyczerpany, nieprzywiązany do ziemi i nieba. Kochasz u kogoś, co zapisywane do utraty tchu nie pozwala się nigdy obnażyć. Wyłoni się z wolnością odrzuconych tkanek.

[22]

Rozważasz z przejściem różnice wysokości, nakładanie się poziomów, pionów, współzależność całości i części. I nadal nie wiesz, czemu nie możesz stąd odejść. Patrzysz wzwyż, jakby tam, w koronie uwięzło światło. Jakby tym właśnie buczykiem ktoś potrząsnął w ekstazie, by się teraz, jesienią, rozszumiało, rozpadało na dobre.

[23]

Choćbyś mówił językami ludzi i aniołów, nic nie pomoże. Słowa ssie popiół. Nikogo na polach, wszystkich połknęła ulewa. Nie toniesz, nie może cię wchłonąć wieloryb. Jesteś ćmą, mokrym płaszczem przyklejonym do drzwi.

[24]

Nie wtórujesz hosannie, nie staje ci natchnienia. Spychasz ze szlaku strzaskane konary, przetaczasz głaz. Nie znasz dnia, do czasu czynisz dobro. Kładąc faszynę, wzmacniając łożysko. Regulując kapryśny los.

[25]

Wspaniała mgła! O tak, jest wspaniale! Od nagłości zetknięcia i rozejścia zdaje się, że powiedzieliście wszystko. Twarzą w twarz, odbici w zmatowiałym lustrze. W zadzierzgniętym przeciwieństwie dróg zostajecie tutaj jak szkic, zapis, cięty na skałach skośny krzyż. Brzęk spełnionych chropowatych szkieł.

[26]

Wszedłeś tam po wielekroć, powszedniością o złotej podeszwie, milionami bukowych listków. Minąłeś skupieniem sterty spatynowanego chrustu, malachitowe poroża reniferów. Przerosłeś karcze, hracznany, wawele. Jakbyś z tej góry miał rozbiec się wokół.

[27]

Tworzysz las, pojawiaasz się w gęstwinie jak rzadkie zwierzę.

[28]

Ostatnie lotki zieleni. Świt, prawdziwy baranek ze śniegu. Przybierasz na bieli. Od okna chłodny zapach cytryny nad książką. Literatura to białość stronicy, rozcieńczalnik w lekarstwo zmieniający czerni.

[29]

Ambona w tumanie, na granicy zarośli i pól. W bok drogi, która wiedzie poza przeznaczenie, nitkę krwi przewleczoną we mgle.

[30]

Miechunka, suchońska, sztywny bukiet z podbarwionymi główkami kwiatów. Nad nim żyrandol z Murano, kolorowe smugi na litych mlecznych listkach, płatkach z ciągniętego szkliva. Chłopczyk po drugiej stronie ogromnego stołu. Cały ty, jeszcze ten ze szkła.

[31]

Innych nie ma, chwile doświadczenia miłości jak samego siebie.

[32]

Patrzysz po wzgórzach za wczorajszym księżycowym światłem. Zielen kondensuje w burych baldachach goryszu, horyzont wschodzi kielkami elektryczności. Wciąż tli się w tobie, że ktoś będzie obok. Wzniesienia topnieją szarością, rośnie poziom przestrzeni we krwi. Wnet niebo wyda karakułową ciemność. Ziemia się dźwiga, najwyraźniej bez punktu podparcia.

[33]

Wokół żarzą szmery, nie buchają na dukt. Odgłosy buszujących zwierząt niepokoją jak gryzący dym. Tuż nad tobą zatliły dwie łanie, co sił się obracając w spopielaly zmierzch.

[34]

Błogosławieni cisi, dzieci zbierające ziemniaki ze swojego pola. Brak ci nieświadomości, by to wypowiedzieć. Milcząc patrzysz na żyjącą wieczność jak na rzędy betonowych krzyży.

[35]

Wyśnionymi krokami, łagodnym wzniesieniem, po jesienne ogołoconym polu. Jesteś na rubieży, gdzieś tędy przebiega granica, nieuchwytna w nużącej zwykłości. Niepokojąc droga wpada w zakłębienie, ostry skręt upewnia, że dotąd było się u siebie. Już rośnie w tobie język, jaki wnet usłyszysz. Jednak w trzewiach parowu trakt zawraca gwałtownie. Czechy pozostają tuż, tuż, na uboczu, sięgają skłonu, urwiska płaskowyżu, po którym wędrowałeś nieświadom w pomroce, iż opada tak nagle, przepastnie. Aż tak się kończy.

[36]

Na odwiecznej szarości ledwie malachit porostów. Nocny wicher starł z dębów szafranową szminkę. Czemu nie piszesz teraz, po ostatnim pogrzebie, o swej wielkiej wolności? Sam z tak licznej rodziny, drzewo, liść i prześwit. Chłopak z chodnika naprzeciw uważnie patrzy ci w okno. Z zielonych szyb zostało suche szkło.

[37]

Pobielona glina w miejscu nieba, wśród ciosanych konarów i pni.

[38]

Wśród oszadziałych, omszałych kamieni z nagłą uświadomiona czerwień, wolna od doraźnego prawdopodobieństwa. Samoistnie trwająca w przestworzu urna z prochami Muhammada.

[39]

Wielkie drzewo, wypełniające rozpadlinę w drodze. Archetypy zlepione błotem.

[40]

Pachnie śniegiem, choć leży tylko na powietrzu. Las zasłany liśćmi. Każda jesień to zdobycie Meksyku, dwadzieścia milionów zabitych. Zima, będą z nieba spadać słoneczniki.

[41]

Kiedyś poruszą się najgłębsze ślady. Wciąż opuszczasz miłość, zabierasz wspomnienie. Błękity, zieleń, gwiazdy mają ogony ze słów. Jak dziecko, nie wyrzekasz się niczego. Poznając drogę chcesz, by cię włączono. W swoim oporze masz kryterium prawdy.

[42]

Second servis! Nawet nie wiesz, z opłotków dzieciństwa, czy spoza szpakowatej siatki horyzontu.

[43]

Środek wyraźnie zaznaczony kredą, gra bez ruchu. W iluż historiach uczestniczysz, dziejach dłoni, stóp, zmysłów i myśli. Snop życia przewiązany powrółem pępowiny.

[44]

Spod przetartej rogoży igliwia wysuwają kamienne łby. Tak, tak, to one. Nie poznałeś nadchodząc inną stroną siebie. Strumień wypełniony wciąż odmiennym odbiciem, zabarwiony słoniową czernią.

[45]

Nagle uzewnętrzniająca się tożsamość. Powściągająca oddech Joganandy nad lusterkami wód, pustosząca doszczętnie Pusty Obłok sunący wyżynami Chin. Zmienacka pętająca kroki nawet tutaj, na świebodzickim trakcie.

[46]

Furkot, jakby las zrastał z wysoka. Błąkasz się po wzniesieniach jak kałuża mgły. Nic nie jest jasne, za twymi plecami droga tak samo wciąż pełna tajemnic. Bezradność wobec barwy, konturu, wszechsensu, pojmowanego ledwie stopniem zaskoczenia. Gałązka, którą możesz ucałować, nagryźć. Sfotografować lub opisać. Uparty ułamek modrzewia, ostro oddzielający się od ciebie stylem japońskiej kaligrafii. Intensywnie milczący wampum.

[47]

Pod stopami szeleści błękit. Jesteś śniegiem na ostrych krzewach wygładzonych od światła, białą plamą na szarzielonych Sudetach. Schodzi tobą lawina, umrzesz z nadistnienia. Tylko tego brak ci do szczęścia.

[48]

Jodełka ciemności z błyskotkami rozpraszającymi się w dali. W najgłębszej tajemnicy przygotowujemy je sobie nawzajem. I wciąż trzeba wierzyć, że to anioł.

[49]

Teraz też jesteś szczęśliwy, nie tylko kiedy chwytasz woń świeżego siana, szosy schnącej po deszczu. W zmroku bardzo blisko odezwały się ptaki, podpełzły szelesty. Jeleń przebiegł jezdnię. Pod chłodnym berdyszem Księżycy samochody jadą w górę i w dół. Stalowe pnie najwyższego napięcia mija pierwszy fiat zarejestrowany w podświadomości. Chłopiec z podmiejskiego podwórka trzyma oburącz strzęp krawieckiej taśmy, zdejmując miarę z twojego dzieciństwa. Biegając śmieje się, krzyczy, odrywa je od ciebie. Narzuca bezmiar.

[50]

Już wiesz, dostałeś gwiazdę, samotnego poszarzałym polem prowadzi własna gwiazda z różowego papieru, oświetlona od wewnątrz, gwiazda za czyimś oknem we wsi, której nazwy nie pamiętasz, wytrwale objawia ci dzień, którego nie zdążyłeś zapisać.

[51]

Słuchasz o madrygałach księcia Gesualdo. Jakbyś oddalił się sobie. Księżyc i Wenus, zakurzone lorgnon. Rysy drzew i wzniesień ranią niegdysiejszą terażniejszością, sepią na szkle. Spuszczasz powieki, na wprost rozświetlone ciemnością przeźrocze.

[52]

Patrzysz ku sercu, w mroku karminowa lampka. Odprawileś wszystkich i wszystko, teraz zamykasz drzwi. Będziecie sami.

[53]

Zmierzasz ścierniskiem w stronę kępy na wzniesieniu. Nie tak doskonały, by nie upodobać sobie w którymś z drzew. Jak ci, co wiedząc, że brak zaproszenia, że nikt nie przyjdzie, nie wyjdzie z niczego, przeglądają się w lustrze, gotowi na wszystko. Tymczasem żółte igielki modrzewia nie tknęły jeszcze ziemi, czekają, aż z śnieżnej wydmy ujdzie biel.

[54]

Bądź tylko. Wokół śnieg, nieruchoma trzcina znaczy bez ustanku.

[55]

Gdziekolwiek było by ci lepiej? To twój kraj, drzewa, z których spadły liście, wszystko, co widziałeś nad głową. Na głęboko odsłonięte niebo wypełzają gryfy i gazy. Wszystkie światła naraz wznoszą w listopadowej szarówce. Przez witraż raptem obnażony ze szkła rozbłyskuje Tarcza Sobieskiego. Niedozbierane dotąd gwiazdozbiory, niewidoczne dla obu półkuli.

[56]

Szarobłękitne wzgórza tęsknią za czystym ultrafioletem, próbują przejrzystości w skrzydlatych nasionkach sosny. Ziemia jest atomem nieba, posiada wszystko, co potrzebne dla niewidzialności. Powierzono ci sekretny skarb, subtelną wiedzę, więc drzewa stają przed tobą głodne znaczenia. Wolałyby stać się wreszcie samą tajemnicą niż kluczykiem zieleniejącym od śniedzi.

[57]

Wnet nadejdzie natchnienie, zstąpi miłość, przebaczenie, hosanna z wysokości. Nic nie będzie zależało od ciebie. Tymczasem jeszcze jesteś, cudotwórcą, człowiekiem. Kładziesz słowa jak bierwiona na swój stos, to właśnie znaczy dobrze ułożony wiersz.

[58]

Pamiętasz nagość przechodzącą przez pokój, kryjący nicość nagły połysk skóry, wklęsnięcia ciepłem wytopione w błękicie. Misteria, w których niczym Apostata oglądałeś nieziemski korowód. Dni, które odrywały cię od siebie, głódź bezramiennych posągów. Śmieszylesz kwiatami, których nie mogłeś wręczyć, sypał się popiół z niegasnących róż.

[59]

Powietrze raptownie rozrasta się w wiatr. Wszystko tak blisko, że stojąc biegniesz, milcząc krzyczysz, oddychając błogosławisz. Za dzień, byle jaki, ciemność, błoto i deszcz, za modlitwę, prawdziwą, znikąd donikąd. Z wdzięcznością, że rozniosłeś się w powietrzu jak wiatr.

[60]

Zapamiętałeś, czego nie potrafiłbyś zobaczyć. Śnił ci się wiatr, bez twarzy, szat, bez skrzydeł. Doświadczałeś istotą istoty. Zbudzony z tożsamości, bezskutecznie wskrzeszasz zeszkłony sarkofag.

[61]

Życie już było, teraz wypełniasz tło. Gęsto kładziesz kłujące gałazki dla gwiazd z posrebrzonego kartonu, które twój ojciec powiesił kiedyś wprost na niebie.

[62]

To nie sen, pomijając śnieżną nadwrażliwość doszedł cię szelest. W roziskrzonej uwadze tracisz łaskę ufności, w niespodziany podmuch, zeschnięte liście, w lisy, łasice, anioły. Niczego nie chcesz, spodziewasz wszystkiego. Serce, serce lasu, bezgraniczne, prawdziwe. To nie do wiary.

[63]

Wieczór drobny, maleńki, ciemny księżyc ze skrzydeł jerzyka. Wokół na pewno panuje jasność, porusza się niecierpliwie. Piętnastowieczna księga tańców burgundzkiej księżniczki, litery srebrne i złote, kroki na smolistym tle.

[64]

W bieli wielowątkowe milczenie, Niagara zamarła na świerkach. U podnóża, gdzie cisza skondensowana najtwardsza, ostry metaliczny świergot ptasiego drobiazgu. Ciemne czółenka kończą sutą tkaninę azurem.

[65]

Chciałeś przywłaszczyć sobie, być twórcą sztuki. Dokładasz tylko. Żarzący rytm rusztu.

[66]

Korzenie zeszłorocznej kukurydzy, spękania po kałużach wychłęptanych przez wiatr. Jesienią nie wzeszła pszenica. Świecą kamyki, iskierki pod naskórkiem nieba. Stygmaty świata stygnącego w próżni.

[67]

Stoisz pod światłem, spod którego opada z rzadka pył martwych owadów. Odrzutowce napinają ciemną płachtę. Jeśliś samotny, wszystkich oszukałeś. Widząc przepaść chcesz wsiąść z linowej kolejki

[68]

Wszystko stworzyć w szczegółach, wówczas staniesz się naprawdę. Przeszłe niedokonane. Buonarrotti, Battista Alberti i tylu innych, tak niewielu. Z nich światło, listek w ludzkiej puszczy, przykrywający wstyd.

[69]

W pokoju wiecznym. Ład czystych barw, szalony porządek Chagalla. Ciężba betonowych krzyży w przedpokoju.

[70]

Błaszana sylwetka na krzyżu. Jak biała świeczka chciałaby zapłonąć w styczniowym wichrze.
Prawdziwym cierpieniem.

[71]

Drażni krtąń pył fotonów, domaga się otwarcia ust. Ściśnięty mrozem mroczny nurt wypływa
z twego gardła.

[72]

Słoneczny anioł niezauważalnie spycha wszystko ku zachodowi. Odchodząc, pierwsi rodzice zapomnieli cię na tym murze.

[73]

Wkoło mozaiki, relikwiarze, witrażowe szyby, lśniące emalie, kolorowe przejrzyste kamienie lub szkło. Zawsze pejzaż, jakiego nie było, samopas na piasku, na wodzie, utrwalający się w bibułkach mgły. Szkic zaledwie przeczujący w niebie.

[74]

Mógłby z tej bramy wyjść Mickiewicz, Goethe, Dante z Wergiliuszem. Syn Człowieczy miłowałby świetlistą prostotę tych drzew. Mógłbyś pozostać tak, jak jesteś, dotykając metalowej poręczy, przełamując w połowie rytm stopni. Zstępując wzwyż.

[75]

Jak Słońce, zrzucić na ziemię widzialność. W śniegu czarne krzemyki, kopytka niewidzialnych zwierząt. Ledwie usłyszanych saren, jeleni, dzików zerwanych z legowisk. Z domu, którego nigdy nie widziałeś, wychodzący naprzeciwko niewidomy.

[76]

Przeszłość istnieje, jeśli jest prorocstwem. Za tobą bielejąca droga, gałąź obnażona z łyka. Z daleka, z przyszłości, słysząc zbijanie drągów, żerdzi, przedwiosenne grodzenie ogrodów. Ziemia jest miękka, mogłyby wychynąć statuetki z Harappy, z Uruk lub Ur. Kilometrami idziesz wzdłuż odsłaniającej się kości, tłumaczysz sobie runy, zodiaki, hieratyczne wierzby. Wierzysz, że planeta jest mumią przemyślnie zaplątaną przez Inków.

[77]

Tylko źródło rośnie tutaj głośno, samo źródło rośnie ze wszystkich sił w dół. Na zielonej wodzie martwy nagi pień, jasna wskazówka, która ignoruje głębię.

[78]

Lecz ponad wszystko zieleń zasiewów, za miedzami, wzdłuż rowów smugi dymu. Nie widać ognia, polem suną powoli traktory. Trzy sarny, tak blisko, tak jaskrawo oderwane od zarośli, jakbyś miał w dłoni garstkę żarzących się węgla.

[79]

Złamana we dwoje, w modrej bluzie, nasycona esencją nieba. W ciasnym ogródku wypatruje pierwszych ząbków zieleni. Pramatka wiosny, wyschnięta ze starości.

[80]

O zmierzchu idziesz lasem, nikt nie czeka, nikt nie wypatruje. A to przecież już Wielka Sobota, godziny do Zmartwychwstania.

[81]

Odeszły chmury, jedno po drugim odzyskujesz źródelka światła. Jakbyś sprawdzał kości po upadku, odcyfrowujesz rozsypany sanskryt.

[82]

Niespodzianie znajduje cię tutaj dźwięk dzwonu. Jakby świat coś wyjawiał, obnażył się we śnie. Nasłuchujesz, zewsząd wraca cisza. Prawdziwie, prawdziwie zmartwychwstał

[83]

Nie musiał, najskwapliwiej wskazano by, iż niepodobna. Tymczasem las wychynął znów poza zewnętrzność. Ziemia pachnie wilgocią, zaprawdę wyzwolona z prawdopodobieństwa.

[84]

Jeszcze daleko do zamku, jeszcze nie w pełni wiosna, a ktoś staje na pustej drodze, robi zdjęcie. Pusta droga to Ewangelia, nikt nie idzie przed tobą, jesteś wolny.

[85]

Aż brak ci miejsca, słowa pełne mocy. Nie być piszącym tylko z Syzyfowym uporem zwracać wszystko, co przychodzi z góry.

[86]

Nie poznajemy, aby mieć, poznajemy, żeby odrzucić. Nie znalazłeś chalcedonów w tym strumieniu, przepelniona przejrzystością woda wylała do wewnątrz, wypłukując cię do czysta. Odczytujesz zatopiony w źrenicach niewzruszony hieroglif, bezimienne imię.

[87]

Widzisz jak las raptownie się kończy. Słońce trwa tak intensywnie, jakby chciało wyjaśnić coś spoza siebie. Olśniewa pustką, brakiem rozumienia. Pozostaje przejść kilka kroków, by napotkać kurtynę osinowych bazi, dojmującą namacalność symbolu. Bezwładnie znaczyć.

[88]

Z adamszkowych tapiserii, pozłoty, alabastru, smukłym oknem w rozmokłą ponowę.
Puszczając własną dłoń, rzucając siebie, spada się w stromy wąwóz, jazgot wąskiej rzeki.
Zostają stare meble, Salon Chiński, Salon Zielony i z wolna powleka je mrok.

[89]

Choćbyś oddawał lata za spojrzenie, uśmiech, nic nie pomoże. Życie nie jest warte szczęścia.

[90]

Wprawiają cię w zakłopotanie dosadnością bytu, spoistością sensu. Ileż wypowiedziały zastygając w przedwiecznym milczeniu, Dekalog jest palimpsestem. Pod stopami opoka, piekła jej nie zmoją. W trzęsieniu ziemi podświadomość wietrzy apostazję.

[91]

Zawierucha tłucze krupami po szybach. Przy gorzkiej herbacie, na kuchennym stole czytasz, jak w głębi mroku wędruje korowód. Z owczą krwią ssie życie jak z nabrzmiałej piersi. Nie organizm, lecz poznanie, miłowanie, mądrość są ciałem oblekającym najściślej.

[92]

Patrzysz jeszcze wzrokiem odświeżonym przez las. Nagromadzenie nieprawdy, aż czujesz ostrze wiary przytknięte do gardła. Obraz za obrazem stroszy krakelury, błaga, byś odszedł, odpycha płóciennymi skrzydłami. Anioł udający niezdolność do lotu, chce odprowadzić cię jak najdalej, abyś przypadkiem gliną nie zamącił źródła.

[93]

Nie odpowiada, pod tym milczeniem odpadasz od sentymentalnych słów. Z nadzieją, że kiedyś także nie zapyta o nic. Zamilkniesz na dobre.

[94]

Jeszcze raz przeczytaj Platona. Przypomnij sobie, jakim językiem, jakimi słowami mówiłeś. Powtórz, coś sobie ostatecznie przypomniat.

[95]

Ekran z sypiących znikąd punktów światła. Wciąż trwa mecz, nic nie słycać, nie ma nawet piłki. Tylko wśród igliwia pulsuje ruch, koszulki białe, ciemne, kolorowe. Sędzia muchomor, niepotrzebny ci w tym rozbieganym lesie.

[96]

Zapukać w drzewo. Nie szukając larw, ani istoty rzeczy. Nawet przed cieniem pozostając w cieniu. Bezmyślnie, jak ten, który w lesie wysypał gruz. Jak sam las. Bojąc się prawdy wciąż zabierasz głos. Jest dostępna zawsze, zewsząd jak widnokrąg, żartem tylko zasłania ci oczy gałązkami modrzewi i brzoź.

[97]

Brzeg cię nie zajmował, pragnąłeś widzieć wodę, wzbierającą, wyłamującą się ponad napiętą płaszczyznę. Złocistością, srebrzystością, bielą. Przyznaj się do wszystkiego, grzech nazwij grzechem, do najmniejszej plamki. Oświetlając skryjesz się w świetle.

[98]

Wtórność tego, co najpierwotniejsze. Kamyki, sploty gałązek, igielki w poszyciu. Czekasz jak w dzieciństwie, kiedy twój świat przekroczy huculski kilim. Poza licem skały naoliwione przekładnie, paraboliczne zwierciadła. Teleskop Hubble'a za granicą widzialności.

[99]

W sporze pomiędzy ciałem a odbiciem, jak najbliżej szkła.

[100]

Największy ciężar właściwy ma światło, lada kamyk nabiera esencji, lica ścian jaśnieją objawieniem. Jest czas milczenia i gwaru szczegółów. Jakbyś raptem mógł pochwycić mgnienie, co grudki tuszu osadza na rzęsach, na powiekach masę perłową i fiolet, na palcach łuski pierścionków.

[101]

Samotność, w której nie stajesz się osamotniony. Nalewasz wody, zapalasz gaz. Posiłek jakby w drodze, smakując wciąż przestrzeni poza powietrzem. Czyjaś dłoń ostrożnie cię dotknęła, obawiając się skruszyć nadszarpnięte życie. Nikt nie odszedł, choć widzisz, że nikogo nie ma. To ty przyszedłeś do siebie.

[102]

Idzie lasem, potyka się, nie wie, gdzie skręcić. Wciąż chciałby o coś pytać. Nie potrzebuje dokądkolwiek iść, już jest ci bliski.

[103]

Podnosisz szyszkę, rozglądasz za sosną. Dramatem, w który pojawi się sosna. Polowanie, wypadek, wojny lub miłości. Szukasz podnoszącego sosnową szyszkę.

[104]

Witoszów, twoje wiersze, łąki, pola, rozległość czerniejąca od świerków, bielejąca od płatków czereśni. Nierówność ziemi odcisnięta w niedotykalnym błękicie. Świat stający się z lekka, jak przez roztargnienie.

[105]

Od rozjarzonej wysokości odskakują ciemne iskierki igliwia. Jak głęboka noc pośrodku dnia. Jaka cisza z nieba do nieba. Zrównać się z tworzonym nieświadomie. Mówiąc milczeć.

[106]

Przedrzeźniając Słońce, osina drży z prędkością myśli. Pozornie dzielić niepodzielne,
zachowując jak najwięcej blasku.

[107]

Jakbyś wszystkie rozумы pojadł. A góry zjadły już zęby na niebie.

[108]

Jesteś światłością świata, umiłowanym beniaminkiem bożym. Tymczasem występujesz jako Herod, ucinasz mowę Chrzciciela zapatrzonej w wirującą karuzelę.

[109]

Jaką idziesz drogą? Jeszcze jej nie ma. Jest cel, jest ściśle określona odległość, lecz samej drogi jeszcze nie ma. Kryje się za tobą, w niedojrzałej nieskończoności.

[110]

Jak zwykle proponuje milczenie, więc milczysz. Nie patrzysz, to też się nie liczy. Nie myślisz, przecież jesteś. Nie przyszedłeś z czymś lub po coś. Tego wszystkiego trzeba, aby odejść.

[111]

Dawałeś radę, aby służyła i tobie, proponowałeś też wyjście, dla siebie. Pozostałeś bezradny na cudzych rozstajach, spróchniały krzyż.

[112]

Fioletowe gołębie, fioletowe jagnięta, fioletowo od ciężkich ciosów deszczu. Przejrzystość kałuży, widny każdy kamyk, każdy okruch żwiru. Nawet biała róża jest miejscem, w którym ziemię obdarto ze skóry.

[113]

W mżawce, w deszczu delikatnym jak modrzew, zszedłeś nagle z gościńca. Gwałćąc przeznaczenie, wtargnąłeś, gdzie nie miałeś się nigdy pojawić. Jak skrzep spłynęła stokiem sarnia szarość, gardziółko kosa zapulsowało oniemiałą czernią.

[114]

Nawet najszlachetniejsza ścieżka dzieli ziemię. Rozdzierasz kartkę? I tak się pisze do każdego z osobna.

[115]

Jakby wszystko miało dopiero nastąpić. Nawet milczenie nie może istnieć bez zażenowania, chyba że się nigdy nie zaczęło. Nie żyć wiecznie, raczej nie mieć początku ni końca.

[116]

W kręgu sylwetek, w przestrzeni wypełnionej zielenią zawiązuje się niebo, wznosi błękitnym strumieniem, nieporuszonym od czasów Abła. Spada wzwyż między głazami obłoków, głębiej i głębiej. Nie związane żarem tlejącego źródła.

[117]

Tak się wspinać, by Ziemia, z wysiłkiem, wszystkimi swoimi górami, starała się wystarczyć.

[118]

Precyzja wierzchołka, czegoś już ogarniętego niczym, dotykającego jeszcze w niedotykalności. Prawda, która każdej słabości dopowiada wielkość. Odłamany od własnych przegubów, z obliczem w kurzu srebrny Chrystus.

[119]

Filozofując nie lekceważ swego psa. Zjeżona sierść na karku może znaczyć, jak bliska jest konkluzja ostateczna.

[120]

Otacza zewsząd, bez najmniejszej przerwy, niedostrzegalny, bo niczego nie możesz rozróżnić. Jak całodziana szata, której się nie kroi, o której los rozstrzyga, komu przypada w całości.

[121]

Swoboda stóp wypełnia całe ciało. Postępujesz za nimi, pragnąc jej bardziej i bardziej. Stopy, stopy kontemplujące spoistość istnienia. Nic więcej.

[122]

Nie możesz dotknąć wzrokiem surowości granitu, leży na nim światło. Mężczyzna zatrzymujący się na krawężniku też by nie istniał, gdyby nie gazeta, rzucająca cień.

[123]

W biało-siwych obłokach za brzeziną grzmi. Tarza się w źdźbłach rumiany trzmiel, modra sikorka śpieszy dotrzymać ci kroku, śmiga po garbatych konarach grusz. Idziesz, wciąż w tutejszym blasku. Z niemym zaproszeniem zjawia się mysikrólik, znikając zarazem.

[124]

Tędy będzie bliżej! Błękitne tęczówki śmieją się spod wylinałych brwi. Jak ścieżki napotkanej w gąszczu, słuchasz go, choć nie wie, dokąd zmierzasz..

[125]

Z życia, zgłębiania ziemi i tropizmu światła, strzępy bieli w poszyciu. Tylko książka.

[126]

Taki sam żrebak, sztywno wyciągniętymi nogami, runął na pierwsze napotkane ogrodzenie. Nie ma kogoś, z kim byłeś tu przed rokiem. Odeszła miłość otwierając drogę.

[127]

Przeleciałbyś nad zatrzymanym nagle widnokretem. Jeśli istniałoby coś niemożliwego do ogarnięcia, już teraz prócz żył i ścięgien czułbyś na szyi dodatkowy powróż.

[128]

Nie panujesz nad tym, najwyższa z gór pojawia się i odlatuje spłoszona, zbyt niedostępna, byś śledził jej powszedniość. Powraca jak niespodzianie wyciągnięty atut, choć w dalekim planie ludzi miałością kamyka, który ledwie czujesz pod podeszwą. Mami ustawiczną improwizacją. Turkusowa i kobaltowa, matowa lub polerowaną stalą ostro wyrzynająca się z tła. Chwilowo utrwalona nikłą akwarelą, to znów nabierająca mrocznej spoistości nefrytu. Odszukana z trudem w gęstwie ulewy czy mgły, zdaje się czystym istnieniem, o które nie podobna oprzeć wzrok. Zwiastuje przyszłość, najwcześniej przybrana bielą. Milczkiem wychynie w oddali, kiedy przestałeś już jej oczekiwać, staje w perspektywie, gdy zdezorientowany umysł liczy na nią zupełnie gdzie indziej. Częstka twych gór, najlepsza częstka ciebie, zaledwie pozwala się spotkać. Wobec niej pewność ustępuje przygodzie, własność doraźnej kreacji. A wystarczyłoby przecież iść, iść wytrwale naprzeciw, nie zważając, gdzie spać, co jeść i czym się przyodziewać, tylko iść, by osiąść w pełni tak wszechstronnie obiecującą kamiennosc.

Tetraedr, kryształ, blask ze wszystkich stron na wszystkie strony. Cztery ściany świata, sześć głównych kierunków, osiem szlachetnych ścieżek, dziesięcioro przykazań. Chwila, która nie mija, a od której stronisz, kurczowo zaciskając w dłoni linię życia.

[130]

Nie mówi, jak jest, tylko jak rozumie. O japońskich mędrkach, których oczy świecą, ponieważ unikają posiadania światła, a twarze są jak ziemia, nie chcąc ani na zmarszczkę przypominać czegokolwiek. Daje ci uchwyt naczynia, które zostawione sobie bez ustanku będzie się samo napełniać. Które trzeba ustrzec od czynienia cudów.

[131]

W przód i w tył ćwiczył nocą salta na asfalcie. W pamięci odwracasz się za nim, za skrzydłami, co przyłgnęły ci do rąk i stóp. W innym przybliżasz sobie. Oswajasz w mityczną postać.

[132]

Ma światowe nastroje, wymyśla idee, literatury, filozofie. Wciąż opowiada o sobie. Boi się wielkiej śmierci. Wielki człowiek chciałby być małym Bogiem.

[133]

Bardzo blisko przylatywał ze swą Ziemią, widać było lasy płożące się od wichru, rozwarte ślepia orkanów. Zatrzymali się naprzeciw siebie i kiedy gawędzili, planety dudniły od wyhamowanego pędu. Tu i tam pagórki skakały jak cielęta. Korzystając z okazji, Hefajstos z Hefajstosem też wybąkali kilka słów. Oddalił się, lecz jeszcze długo lśnił na błękitach jego Pacyfik.

[134]

Schodzisz ze szlaku świętego Łukasza, wokół bezbarwne borówki milczenia. Wszystko wybaczyć, wyrzec się wszystkiego, przeminie niebo i ziemia. Słowa, słowa nie przeminą. Rwiesz się do odpowiedzi, do cna oniemiały.

[135]

Szmer ocierających się drzew. Modlitwy, gdy niebo poruszy dwoistą naturę.

[136]

Czereśnia ukrzyżowana na starość wierchołkiem w dół, na ślepo rosnącym pniu.

[137]

Rzeka prześwituje jak wyschnięty listek. Wszystko było czym innym. Wzgórza podjeżdżają, cofają na ukrytym łożysku. Kontury odbijają od gęsto pikowanego błękitu. Stara kobieta śmieje się do ciebie, mówi, że rankiem widziała tu lisa.

[138]

Wizje zdzierane z wklęsłej metalicznej gładzi. Świat, wzgórze, arka z ciżbą buków stęsknionych sawanny. Zieleń okiełznana w pół drogi, nad siną bystrą rzeką. Tak wędrujesz przed siebie, jarem, ugorem, przez pole z krzakiem czarnego bzu. Na kapliczce w oddali kula z miedzi, jak Słońce, jak prawdziwy wiersz. Ziarnko świetlistego maku ogarnia wszystko, co zdawało się ciębie przerastać.

[139]

Już nie zaskoczy, już wiesz, jak nazywać, na przykład stan uniwersalny. Ten czas, miejsce, drzewa, pod którymi idziesz. Być choćby figą, którą przeklął Jezus.

[140]

Jak akt jaskrawy w mroku witraż Najświętszego Serca. Znak producenta tuż przed końcem taśmy.

[141]

Równina proponuje doskonałość podstawy, jakby po tobie spodziewano się gór. Jest jak drugi człowiek. I jak Bóg.

[142]

Drogi bieleją w mroku niczym naprężone struny. Nieraz przechodziłeś tam z jednej na drugą. Prędzej czy później wychyną widywane zwierzęta. Jeśli starczy ci cierpliwości, zobaczysz także siebie idącego tamtędy.

[143]

Prześwituje przełęcz, nie zmierzasz tam jeszcze. Szukasz wzrokiem, gdzie między drzewami góruje mrok, by go w sobie zniweczyć.

[144]

Zbliżyłeś się z tą ziemią, nie trzeba ci przewodnika. Sam mógłbyś napisać, zilustrować, wydać za srebniki. Szukasz najwierniejszych zdjęć, map wojskowych, górniczych, których każda zmarszczka odpowiada za życie.

[145]

To nie deszcz to wielkie ubywanie, topnienie po pusty grób. Każda chwila życia jest odmianą światła, akwaforta upraszcza świat, susza i deszcz, cisza i wiatr, przed tobą miłość, ażeby cię zabrać. Jeszcze wędrujesz zakosami w dół, wciąż większa dokoła ulewa, coraz bardziej przysycha ci język.

[146]

Zetlałe niebo, na rosochach płachty, co chronią dojrzewające czereśnie.

[147]

Las wypuszcza liściastą ciemność, wzniesienia wsiąkają w niebo. Czas na poezję, ostatni temat, jaki jeszcze powinno się podjąć.

[148]

Medytując uciekasz przed ognistym mieczem, w najgłębszy cień.

[149]

Nie że czernieją złożywszy skrzydełka, że przedwcześnie zapadły w jesienną drętwość. Lecz że wybrały ten dom, pełen smutku.

[150]

Drzwi, przed którymi można by usiąść, w razie konieczności zginąć w ich obronie. Nie jesteś psem, zrobiłbyś to darmo.

[151]

Nie pragnąć niczego, nikogo, ni siebie. Nie jesteś zapachem rozgrzanej sosny, dotknięciem pajęczej nitki. Unoszony wyrzeczeniem, nie jesteś teraz, ty już jesteś potem.

[152]

Podnosisz ramiona, prześwietlona zieleń nie opuszcza liści. Także niebo nasycone lazurem i biel obłoków pozostają na miejscu. Tylko tak jesteście jednością, każdy na swój obraz, na własne podobieństwo.

[153]

Droga prowadzi nikogo nie prowadząc, maliny cierpkie w cieniu i słodkie od słońca, ciekłą zielenią gromnice modrzewi. Upał nie pozwala odejść, kładzie się na piersi. Stoi sarna i zboża, o których wszyscy zapomnieli. Stoją białe w dolinie, całe białe, jak śnieg.

[154]